

Pośród doniesień prasowych o możliwych ruchach transferowych, buńczucznych wywiadach i zapowiedziach w rzymskich mediach znajdziemy dziś także miejsce dla osoby ze wszech miar wyjątkowej.

30 maja mija 19 rocznica, kiedy odszedł Agostino Di Bartolomei – charyzmatyczny i jedyny w swoim rodzaju kapitan Giallorossich. Choć popularny do dnia dzisiejszego DiBa występował w kilku klubach, naprawdę kochał tylko Romę. Kochał ją miłością prawdziwą i dożywotnią – niestety, bez wzajemności. Po zakończeniu kariery piłkarskiej nie mógł znaleźć sobie nowego miejsca w swoim życiu, wysyłając dramatyczne S.O.S. do Trigorii prosił o małą szansę ponownego zaistnienia w klubie. Nadaremno...

Agostino Bartolomei rozegrał w barwach Romy 237 spotkań, w których zdobył 50 goli. Pełną biografię piłkarza można przeczytać w naszej Alei Gwiazd. My natomiast chcielibyśmy dziś zaprezentować (lub przypomnieć tym, którzy już czytali) felieton eksperta calcio, Tomasza Lipińskiego, zatytułowany „Wyrzut sumienia”.

"WYRZUT SUMIENIA"

Jego nazwisko było mi znane ze słyszenia. Wiedziałem, że taki piłkarz istniał, orientowałem się, gdzie grał i tyle. Bardzo to wszystko powierzchowne. Moją wiedzę pogłębił Grzegorz Milko. On ma słabość do piłkarskich (ale nie tylko) legend. To dla niego pomnikowe postaci, którym należy się wielki szacunek i pamięć. Przy dawnych gwiazdach teraźniejsi piłkarze są co najwyżej gwiazdkami. Czasami z tego żartuję, przekomarzam się, ale szanuję. A za Agostino Di Bartolomei – dziękuję.

Ładnych parę lat temu Milord natknął się w internecie na artykuł mu poświęcony. I podczas naszych transmisji z udziałem Romy zdarzyło mu się nie raz i nie dwa przytoczyć historię życia i śmierci tego piłkarza. To i ja się rzeczywiście zainteresowałem. W poprzednim roku natrafiłem w „La Gazzetta dello Sport” na informację, że powstał film dokumentalny o wielkim kapitanie Romy. Tytuł „11 metri”. Obiecaliśmy sobie, że jak tylko będzie dostępny na płycie dvd, to ściągniemy do Polski. Nie minęło wiele czasu, jak tym razem w „Corriere dello Sport” zobaczyłem, że można go kupić w kioskach razem z aktualnym numerem gazety. No to zadzwoniliśmy do Rzymu do naszego korespondenta Piotra Kowalczuka i po paru dniach miałem kopertę z oczekiwaną zawartością w skrzynce.

Dzień przed Sylwestrem spakowałem płytę do torby i pojechałem do Milorda na wspólne oglądanie. Z tego więc wynika i do czego się przyznaję, że jako krytyk filmowy zachowałem się wyjątkowo nieprofesjonalnie, bo najpierw film polecałem (w jednym z przedświątecznych blogów), a dopiero później obejrzałem. Nie szkodzi, krytykiem w końcu nie jestem, a i tak wyszło na moje, bo film można było polecić w ciemno.

To 87-minutowy zbiór zdjęć archiwalnych i przede wszystkim wspomnień o Di Bartolomei. Od dzieciństwa po tragiczną śmierć, która nastąpiła 30 maja 1994 roku. Dokładnie co do dnia dziesięć lat po przegranym przez Romę w rzutach karnych finale Pucharu Mistrzów z Liverpooliem jej kapitan strzelił sobie w serce. Na ekranie przewija się mnóstwo osób: dwóch synów (starszy pochodzący z pierwszego małżeństwa żony, młodszy to z kolei kopia Ago – tak go nazywali), żona, trenerzy, dziennikarze, psychologowie, koledzy z drużyny Bruno Conti, Franco Tancredi, Sebastiano Nela, Roberto Pruzzo z Romy, Mauro Tassotti i Franco Baresi z Milanu, bliżsi i dalsi znajomi z Salerno.

Di Bartolomei był rzymianinem, pierwszym kapitanem urodzonym w Wiecznym Mieście, który poprowadził Romę do mistrzostwa kraju. Po 41 latach przerwy. Był charyzmatycznym liderem, jeśli on coś postanowił, akceptowała to cała drużyna. Od najmłodszych lat wyróżniał go charakter i silny strzał prawą nogą. Był poważny, nad wiek poważny: myślący, przewidujący, intelektualista, którego horyzonty wybiegały daleko poza boisko. Studiował. Wrażliwy. Introwertyk, nie okazujący uczuć. Zakładający maskę twardziela, który jak kogoś lubił, to go klepnął, szturchnął, potraktował twardo i po męsku, zamiast ciepło i z uczuciem. Tancredi powiedział, że jest wdzięczny Ago za liczne razy, którymi go poczęstował.

Z kolei moc, która drzemała w jego prawej nodze to był dar natury, ale też efekt treningów. Ago jeździł na plażę i potrafił wykonać kilkadziesiąt kopnięć gołą stopą w piasek – tak doskonalił swoją umiejętność.

Jego trener z juniorów opowiadał, że Di Bartolomei rozpoczynał akcję z głębi pola, wymieniał piłkę z kolegami i kończył mocnym strzałem, Najczęściej celnym. Był najskuteczniejszym strzelcem. Bez niego nie byłoby mistrzostwa dla drużyny Primavera.

W sezonie 1983-84 grał z dziesiątką na plecach, był kapitanem Romy prowadzonej przez Nilsa Liedholma. Ich relacje wybiegały poza zwykłe stosunki między trenerem a piłkarzem. Nadawali na tych samych falach, pasjonowali się sztuką, rozmawiali o niej, odwiedzali muzea. Mistrz i uczeń. Mistrz znalazł też swojemu ulubionemu uczniowi nowe miejsce na boisku. Z pomocy przesunął go do obrony. I tak Di Bartolomei stał się libero. Wypowiadający się dziennikarze jednogłośnie uznali, że było genialne posunięcie taktyczne, decydujące dla późniejszego sukcesu. To tak jakby Roma cały czas grała z jednym zawodnikiem więcej, bo Di Bartolomei bronił, ale równocześnie rozgrywał jak pomocnik i strzelał jak napastnik. Takiego obrońcy, który strzelił 7 goli nie miał nikt inny. W drużynie skuteczniejszy był tylko Roberto Pruzzo z 12 golami. Słynny Bruno Conti zaliczył 3 trafienia.

Miałem tę frajdę, że mogłem odtworzyć wszystkie co do jednej jego bramki z tamtego pamiętnego sezonu. Parę lat temu zaopatrzyłem się w wydawnictwo „La Repubblica” pod tytułem „Campionati da leggenda”, w którym na piętnastu płytach zmieścił się filmowy i statystyczny opis najciekawszych ligowych sezonów. Niesamowitą wartość stanowią bramki zdobywane przez dawne gwiazdy. Znalazłem

na nich między gole Zbigniewa Bońka dla Juventusu i Romy czy jedyne trafienie Władysława Żmudy dla Cremonese.

Część piąta opowiadała o sezonie 1983-84 i tam znalazłem bramki Di Bartolomei. Wszystkie strzelił prawą nogą, cztery z rzutów wolnych, jedną z karnego i dwie z akcji. Każda to była bomba. Ktoś mu zagrał lekko w bok lub do tyłu, a on nadbiegał i niemal siatki rozrywał.

W tamtym marszu Romy po scudetto zdarzył się krytyczny moment po 22 kolejce, kiedy przegrała u siebie z głównym rywalem Juventusem (na filmie widać ostre starcie i wymianę zdań między Di Bartolomei i Bońkiem). Dystans się zmniejszył, napięcie zwiększyło i dlatego kluczowy był wyjazd do Pisy. Kapitan wszystkich w koło uspokajał, że pojedą i na pewno wygrają, a on strzeli zwycięskiego gola. Skończyło się wynikiem 2:1, a kapitan podwyższył z wolnego na 2:0. W przedostatniej kolejce Roma na stadionie w Genui świętowała scudetto. Kibice wbiegli na boisko, porwali w ramiona Liedholma, na lotnisku Ciampino witały drużynę tysiące rzymian, w Circo Massimo Antonello Venditti dał koncert. Późną nocą Ago z żoną wsiedli w samochód, żeby zza jego okien napawać się szalejącym ze szczęścia miastem.

Rok później był finał z Liverpoolem. Po 120 minutach 1:1 i karne. Di Bartolomei miał go wykonać jako pierwszy, ale czuł się tak zmęczony, że odpowiedzialność chciał rzucić na kogoś innego. Wyrwał się Graziani: już siedł w stronę piłki, kiedy Liedholm zawrócił go w pół drogi. Na dobry początek miał strzelić Di Bartolomei i basta, on nigdy się nie mylił. Nie pomylił się i tym razem. Zrobili to Graziani i Conti.

Atutem tego filmu jest to, że nie tylko opowiada piękną historię, ale nie daje gotowych odpowiedzi, nie oskarża nikogo wprost za przedwczesną śmierć piłkarza, tylko podsuwa kolejne hipotezy.

Ago, jak był już sławny, nie rozstawał się ze swoją saszetką. Szybko wyszło na jaw, że nosił w niej pistolet, który w nocy trzymał pod poduszką. Czuł się zagrożony. To fakt na pewno dający dużo do myślenia i rzucający trochę światła na najskrytsze zaufki jego skomplikowanej osobowości.

Po zakończeniu kariery był zbyt dumny i skryty, żeby zakomunikować światu, czego naprawdę chce. Że niczego bardziej nie pragnie niż powrotu z okolic Salerno, gdzie zamieszkał po karierze, do Romy. Chciał znów czuć się potrzebny. Wysyłał tylko nieśmiałe sygnały, które nie zostały przez nikogo właściwie i na czas odczytane. Być może w Romie nikt nie chciał tego zrobić. Bruno Conti zapytał klubowych działaczy, dlaczego Di Bartolomei nie może pracować w Romie? Bo wcześniej zbyt krytycznie wypowiadał się o klubie – usłyszał. Nie zapomnieli mu, że po przejściu do Milanu (zesłał go tam Sven Goran Eriksson, który nie widział miejsca w swojej Romie dla za wolnego jego zdaniem pomocnika), strzelił jej gola, przyczynił do porażki i jeszcze śmiał się z tego cieszyć.

Był coraz bardziej zagubiony na prowincji w Salerno, bezradny. Niespełniony i niezrozumiany. W pożegnalnym liście napisał do żony, że już nie daje rady. Że ona jest silniejsza i wychowa synów bez niego. Że świat, w którym przez tyle lat z powodzeniem się funkcjonował, teraz zamknął mu drzwi przed nosem. Nieśmiało pukał, ale nikt mu nie otworzył.

Przejmujący były opowieści żony i młodszego syna o dniu, w którym Ago popełnił samobójstwo. Przejmująca była scena, kiedy kamera wyjeżdża na dzisiejszy, pusty Stadio Olimpico, a spiker w tle odczytywał dawny skład Romy. Każdemu nazwisku towarzyszyły oklaski i głośnie okrzyki. Di Bartolomei jako ostatni aplauz zebrał największy. Gdyby tym krzykiem można go było przywołać na ziemię, to wielu ludzi nie miałoby wyrzutów sumienia. Wystarczyło przecież tak niewiele, żeby żył. Może zrobiłby taką karierę w roli trenera jak Carlo Ancelotti, z którym grał w Romie i który z wyglądu i zachowania bardzo go przypomina.

Wzruszający film. Uznaliśmy, że piękna i tragiczna historia Agostino Di Bartolomei trochę przypomina tę Kazimierza Deyny. I zastanawialiśmy się, czy w Polsce film „11 metri” cieszyłby się zainteresowaniem. Co o tym sądzicie?

autor: Tomasz Lipiński

Autor: RoMaO